

ITKA FEJGUS

Róża Ostrowska

Niejednokrotnie próbuję zrozumieć, dlaczego właśnie jej osoba tak bardzo związała mi się z każdym wspomnieniem o małym miasteczku żydowskim z dnia wczorajszego. Bo wielki sentyment do skrawka świata, jaki opasywał ową mieścinę brudną i śmieszłą; sentyment ubierający wspomnienia i słowa wspomnień w barwy ciepłe i znaczące, nie tłumaczy mi tego całkowicie. Dzień wczorajszy oddzielił się od teraźniejszości trudnym zwałem zdarzeń, przeciętych niemi ludzkich losów. Czasem przychodzi mi do głowy, że postać Itki – tak nieodwołalnie wczorajsza – związała się jednak niedostrzegalnie z dniem dzisiejszym, że pozostaje w nim nadal w jakimś niepojętym, a przecie wyczuwalnym kontakcie.

Miasteczko leżało na nieznacznym jedynie wzniesieniu. Jechało się tam drogą piaszczystą, początkowo szeroką i względnie wygodną, później zwężającą się do jednej, wyrazistej i głębokiej koleiny. Stąd trzeba było już stale zjeżdżać w bok przy mijaniu z rzadka spotykanych wozów. Cztery wielkie koła bryczuszki, niskiej i pudełkowatej, wyginały się wtedy w niespokojny zygzak, straszliwie skrzypiący. To była jedyna emocja jazdy – długiej, gorącej, pełnej szelestu piachu, przesypującego się pod kołami. Koń – zwany przez Elżbietę »koniem do bryczuszki« – udawał zmęczenie, wlokąc nosem nisko przy ziemi. Koń do bryczuszki w ciągu szeregu lat moich w tamtych stronach zmieniał maść, wzrost i miano, ale w istocie rzeczy zawsze był to ten sam chytry prostak, lubiany, a jednak niezmiernie irytujący.

Już w czasie drogi wyłaniała się myśl o Itce, często skojarzona z jej wspaniałymi, chrupiącymi chałami, posypanymi makiem. Głód odczuwałam przeważnie wtedy, kiedy za zakrętem drogi wyrastało łagodne wzgórze z białą wieżyczką kościoła. Dojeżdżało się. Stąd szły już aż do pierwszej uliczki gęsto zaludnionej, z dala ostro czerwieniejące jarzębiny. Koń przechodził w swój nieregularny truchcik, jakby również wietrząc odpoczynek i poczęstunek u Itki. Przyjemnie było, utrzymując się już w tym truchcie, z hałasem podskakiwać po wyboistym bruku pierwszej uliczki przy akompaniamencie kurzych przestraszów i psich zadziwień. Koń sam skręcał od ryneczku przed kościołem na prawo – prosto do Itki.

Punkt to był rzeczywiście centralny. Na rynku zbiegały się trzy drogi, jedyne, które do miasteczka gnuśnego i sennego nadejść mogło coś niespodzianego. Uliczka na prawo była krótka, wąska i nieważna – ważny pozostał tam jedynie krzywy ganek przed sklepem o szyldzie I. Fejgus. Ganek, będący pomostem strategicznym, najpewniejszym obserwatorium i podstawą potęgi Itki. Ganek, z którego widać było rynek, z którego widać było wszystko. Ganek, który stawał się źródłem wiedzy Itki o wszystkim. Ten wreszcie ganek, za którego przyczyną przyjść miały dla Itki gorzkie rozczarowania.

Znaczenie owego ganka zrozumieć miałam znacznie później; jego znaczenie wewnętrzne, tylko dla Itki ważne i zasadnicze. Sens bowiem zewnętrzny był łatwy, prosty, rozumiał się sam przez się. Był po prostu kluczem powodzenia i hegemonii Itki w miasteczku, hegemonii, rozciągającej się znacznie dalej niż odrapane domki wylotowych uliczek.

Było to niezmiennie, jak słoneczna i przejrzysta pogoda, związana z wyprawą do miasteczka – widok Itki, dużej, imponującej, przepasanej mocno brudnym fartuchem, tkwiącej nieruchomo na ganeczku. Z daleka już kiwała poważnie głową na powitanie. Słońce malowało tę głowę w barwy spłowiałożółte, rudobrunatne i srebrne. Nie, to nie była peruka ta masa wielkich włosów, a jednak kojarzyła się stale z peruką przez swoją nienaturalną jakby puszystość i niezmienną trwałość.

Tę Itkę zobaczyłam i wtedy, kiedy po raz pierwszy odwiedziłam miasteczko, siedząc obok Elżbiety w pudełkowej bryczce. Z tamtego spotkania niewiele pamiętam – był to moment senności i marznięcia, moje dziecinne, chude kolana uderzały jedno o drugie w czasie jazdy po głowiastym i poszarpanym bruku. Elżbieta kupowała długo. Itka ostrożnie podała mi w palcach ciepłą jeszcze chałę. Uśmiechała się po macierzyńsku wypukłymi, ciemnymi oczyma. Mówiła coś o »gościńcu« dla małej panienki. Była wielka, ciepła jakaś, pachnąca chałami, cebulą i kapustą. Od tej chały właściwie zaczęła się nasza przyjaźń, przyjaźń szczególna, przecież niezaprzeczalna. Ciągnęła się przez wszystkie okresy, jakie potem miała przeżyć Itka, z całym ich bogactwem rzeczy na pozór drobnych i w szerokim nurcie zdarzeń dalekiego świata nieistotnych lub mało znaczących.

To był jeszcze okres powodzenia i rozkwitu władztwa Itki, kiedy z małego rynku przed kościołem zakręcało się wprost na prawo. Itka musiała być na ganku. Szybkim kiwaniem głowy – jakby czemuś przytakiwała – zapraszała do wnętrza. Fartuchem omiatała stołki. W ciasnym sklepieniu panował zaduch, daleki jednak od zaduchu brudnych wnętrz. Czuło się tu wszystkie towary Itki, przedziwny konglomerat zapachów, ciężki i przytłaczający, a jednak przyjemny.

Wtedy właśnie zaczynała się rozmowa, jedna z tych niekończących się rozmów o ludziach. Itka mówiła, kto kiedy przyjeżdżał. Dziś rano byli z Annopola. Tak, sama dziewczeczka. Itka uśmiechała się szeroko, serdecznie przy tym słowie »dziedziczka«. Trzeba było znać Itkę, by doszukać się w tym właśnie nazwaniu ironii, tylko Itce właściwej. Duży i mięśnisty nos chwiał się lekko nad wydatnymi ustami. Itka nie lubiła właścicielki Annopola. Lubiła naprawdę Elżbietę i o niej mówiła zawsze po prostu »pani Prochacka«. Podkreślała tym rozróżnieniem łączącą ją z Elżbietą zażyłość i jakieś bliższe porozumienie. Sympatie Itki nie były łatwe i proste do odgadnięcia. Dziedziczka z Annopola przyjeżdżała wysoką bryczką, zwaną w okolicy powozem. Szły tam świetne konie pełnej krwi, jak grzmoty uderzające kopytami w ciszę okurzonego miasteczka. Do Annopola brano u Itki pełne kosze towarów, płacąc zaraz brzęczącą monetą. Annopol był wielki i bogaty.

Inaczej z Elżbietą. Elżbieta zaciągała niekończące się, tasiemcowate długi. Itka wpisywała jej rachunki do zatłuszczonego zeszytu w kratki. To były jednak sprawy interesu. Sprawy sympatii wykraczały daleko poza jego obręb, wiązały się w sferze rzeczy najbardziej ludzkich: zrozumienia, pobłażliwości, ironii i nieskończonych tęsknot, równie łatwo odczuwalnych na zacienionym ganku Elżbiety, jak i pomiędzy krzywymi słupkami ganeczku Itki. Tu bowiem kończyło się i zaczynało życie.

– Ja nie chciałabym takiego Annopola – mówiła Itka. Oczy jej miały wyraz figlarny, choć twarz i ton pozostawały poważne, niemal dostojne – ja bym się nie zamieniła.

Patrzyłam na wąskie ściany sklepienia. Na podłodze bawiły się wnuczka Itki, kędzierzawe, brudne. Oczy miały migdałowe, wilgotne, czarne i delikatnie rzeźbione nosy. Wiedziało się o nich wiele: jak i kiedy które chorowało, co będzie robić w przyszłości. Itka lubiła plany i projekty. Rzeczywistość nie zdawała się jej nigdy zbyt uboga i źle wróżąca na to, by nie snuć monologu w rodzaju:

– O, Mosiek, moja panienko, co za chłopiec. On każde maszynke rozumie. Taki piękny prymus mnie rozkręcił. Z niego inżynier – i zaraz potem mówiło się o inżynierze Zalewskim, który nie pilnuje folwarku, po świecie jeździ, cuda ogląda. I znów o Annopolu, że Itka by się nie zamieniła. I żeby ona miała takie pieniądze jak ta dziedziczka.

Nęcił i podniecał ten świat nie oglądany i ci ludzie, o których się jeszcze nie wiedziało. Nęcił już może nie dla siebie – kto wie, ile w tym tkwiło rezygnacji – ile dla owych wnucząt z nad brudnej podłogi.

Córka Itki siedziała jakoś w głębi za sklepem, w mieszkaniu. Trochę zarabiała szyciem, ale szyła źle i Itka nie lubiła o niej mówić. Córka Itki ciągle płakała. Przechodziła przez sklep rzadko, błada, nalana i siakająca nosem – już parę lat jak mąż ją rzucił i przepadł nie wiedzieć gdzie. Itka i na to znajdowała wytłumaczenie, niepomna swojej krzywdy, krzywdy córki i wnucząt.

– Una ciągle płakała, stękała, że biednie, że ciasno, że dzieci się rodzą. A on był żywy, wesół, że aj – przymykała powieki z uśmiechem i znów wracała do rozumienia sprawy, do owego rozumienia, które umiało jej zawsze wszystko wyjaśnić – to i poszedł szukać lepszego chleba. – Co mi tam una – kiwała głową w stronę drzwi, za którymi tkwiła córka.

Któregoś lata sprowadził się do miasteczka nowy kupiec. Na głównej, szerokiej ulicy urządził sklep: Sklep towarów kolonialnych – Ch. Bass. Przyjechał z dużymi pieniędzmi. Wystawa jego zatłoczyła się luksusowym towarem. Można tam było dostać drogie wina i likiery, konserwy, bakalie, – Bóg wie co jeszcze. To Bass stał się przyczyną wielkiej zgryzoty Itki, jej nieustannego oburzenia. Pierwszy przeszedł na Bassa chyba Annopol. Chyłkiem starano się przejechać rynek, zniknąć, po prostu rozplynać się za zakrętem głównej ulicy. Potem już otwarcie wywożono pełne bryki towarów, a Bass kłaniał się zbyt pośpiesznie na progu swego sklepu.

Elżbieta pozostała oczywiście u Itki. Byłam jej za to niezmiernie wdzięczna. Moja antypatia do Bassa łączyła się nie tylko z osobą Itki, stawała się głębsza. Bass był intruzem na gruncie miasteczka, niczym nie usprawiedliwiającym wtrącenia pomiędzy ludzi jakoś do siebie dopasowanych, od dawna w całość ułożonych.

Nadszedł jednak dzień, po którym problem Bassa stał się nieważny, przestał być aktualny. W miasteczku założono spółdzielnię. Otwarto piękny, jasny sklep w nowowynbudowanym domku za kościołem – tuż przy poczcie. Wiele się o tym mówiło wśród okolicznych znajomych, że tylko w spółdzielni można teraz kupować. Że popierać. Że nie wolno.

Rozpoczął się okres upadku w interesie Itki. Wszyscy przeszli do spółdzielni. Ze swego ganeczka Itka widzieć mogła tych ludzi, dla których jej istnienie przestało się w tym czasie liczyć. Bruk wąskiej uliczki na prawo od rynku zastygał w długie tygodnie okurzonej ciszy i senności.

Elżbieta też posyłała do spółdzielni. W tym czasie wyprawy do miasteczka straciły dla mnie zwykły urok. Może ogarniał mnie dziecinny wstyd, może się trochę bałam spotkania z Itką. Kilkakrotnie będąc w miasteczku odjeżdżałam sprzed spółdzielni dalszą drogą – objeżdżałam osadę wkoło olbrzymim kręgiem, by mnie Itka nie zobaczyła. Kiedyś przemogła dziewczyna i nieuświadomiona jeszcze wtedy tęsknota. Odważnie zajechałam przed krzywy ganeczek. Itki na nim nie było. Wyszła na moje spotkanie ze zwykłym uśmiechem. Znów kiwała potakująco głową i omiatała fartuchem stółek w ciasnym sklepiku. Usiadłam. Zubożenie Itki, o którym mówiło się czasem między sąsiadami – mówiło się z jakąś zjadliwą i niczym przecież nie usprawiedliwioną satysfakcją – rzuciło mi się od razu w oczy. Tak niewiele towarów

zapełniało natłoczone niegdyś półki. Wielkie pudło, pełne grubych świec, stojące na ladzie, pokrywał lepki kurz.

Itka usiadła naprzeciw mnie. Milczałyśmy dłuższą chwilę, ja – zakłopotana i niepewna, ona – przyjazna i spokojna, po prostu niewzruszona. I kiedy zaczęła mówić, tylko głos miększy i słowa pośpieszniejsze niż zwykle kazały mi zrozumieć, że przybycie moje było czymś radosnym, może z dawna oczekiwanym.

– Ja wszystko rozumiem – mówiła szybko Itka, kiwając się lekko na stołku. Ręce, wąskie i dziwnie drobne przy całej jej wielkiej postaci, krzyżowała na podołku – ja rozumiem. Spółdzielnia. Można kupować, można jeździć. Nie trzeba się kryć. Ja rozumiem. To jest ich interes. No tak. Ale czemu nikt nie zajedzie, nigdy nie zajedzie, – ciemne, połyskliwe oczy zdumiewały się własnym pytaniem – no, porozmawiać, zapytać. Czemu?

Patrzyłam na jej twarz gniewnie rozżaloną i oczy pytające. Wiedziałam teraz, dlaczego Itka nie siaduje już na swoim ganku. Oczekiwanie straciło swój sens, nie było na kogo czekać. Wszyscy tamci, jeżdżący do spółdzielni, rozumieli – jak to mówiła Itka – swój »interes«. Sprawy Itki nie umieli po prostu wyłączyć poza krąg tego interesu – umieścić na innej płaszczyźnie. Najniesłuszniej, najbardziej ślepo nie umieli.

– Tyle lat – dodawała Itka śpiesznie – tyle lat.

Odjeżdżałam, uwożąc wielką chałę – stały pożegnalny dar Itki dla mnie, za który nigdy nie chciała brać pieniędzy. Stała na ganku i patrzyła za mną długo. Musiała być bardzo samotna.

Mogłabym może długo jeszcze mówić o Itce, choć nie zmieniłby się przez to łańcuszek faktów – małych pewnie i nieważnych, za drobnych nawet, by je nazwać zdarzeniami. Niech jednak to wszystko, co chciałam dodać, pozostanie między mną i Itką.

Był jeszcze epilog naszej znajomości.

Przez dłuższy czas nie bywałam w miasteczku. Dochodziły mnie słuchy o zmianie w losie Itki i jej rodziny. Wrócił podobno niespodzianie marnotrawny mąż córki, wrócił z jakimś sporym groszem w kieszeni. Likwidował sklepik, zakładał jakoby fryzjernię. Opowiadano o wnukach Itki, porządnie ubranych, o córce Itki, dla której rozpoczęło się życie. Itka usuwała się w tych docierających do mnie wieściach w zupełny cień. I wtedy właśnie zapragnęłam ją zobaczyć.

Były to ostatnie dni lata – lata aż niezrozumiałego w swojej niezmaconej pogodzie, w swoich dnich nasiąkniętych do ostatka złocistością i natężoną ciszą. Kiedy jechałam rozklekotaną bryczuszką po znanej drodze, pasmo nieruchomego lasu na widnokręgu opasywało ten skrawek świata murem zda się nieprzebytym. Trudno było uwierzyć, że poza tą granicą poczynały się rzeczy i sprawy, które miały dotrzeć i tu, by przekreślić, zburzyć i zamknąć jakiś rozdział życia na zawsze.

Byłam daleko od myśli podobnych wtedy, w czasie tej jazdy do miasteczka, o której nie wiedziałam, że jest pożegnalna.

Uliczka na prawo od rynku – nad krzywym ganeczkiem brak dawnego szyldu I. Fejgus. Nowy zielony napis Fryzjernia. Świeżo malowane, zielone poręcze. Zielone futryny okien. Zięć Itki w białym kitlu, lśniący granatową czupryną. Córka Itki z umytą twarzą, nagle ruchliwa i rozgadana.

Itka wyszła do mnie uśmiechnięta. Ale już wtedy, kiedy usiadłyśmy na ganku – nowe niezniszczone ławeczki – uśmiech znikła z jej oczu, pozostał tylko na wargach. Wargi te zapa

dły nieco w głąb, spuścił się nad nie nos mięsisty, nagle sflaczały. Itka skrzyżowała ręce na podołku.

Gratulowałam jej zmiany na lepsze, zięcia, fryzjerni, zbliżającego się dobrobytu, ślicznie wyrosniętych wnuków. Opowiadała mi o tym wszystkim spokojnie, godnie, bez radości. Oczy – głębiej niż zazwyczaj ukryte pod powiekami – pozostawały puste, bez blasku.

– Może się pani nareszcie cieszyć, spokojnie cieszyć – powiedziałam w pewnej chwili, sama już prawie przekonana o nietrafności moich słów.

Itka spojrzała na mnie – wzrok miała pełen jakiegoś wysiłku. Powoli potrząsnęła przecząco głową.

– Ja się nie cieszę – odparła wolno, z zastanowieniem.

Próbowałam protestować, zrozumieć. Ależ dlaczego? Przecie o tym zawsze marzyła: wnuki, pieniądze dla wnuków, szkoła, świat.

Znów wysiłek w oczach. Pochyli się ku mnie, ściszyła raptem głos.

– Ja nie wierzę – powiedziała nieco chrapliwie – coś będzie źle. Ja to czuję.

W oczach błysk spłoszenia i lęku. Ręką wskazała poza rynek, ku drogom idącym z miasteczka.

– Niedobrze będzie – powtórzyła najciszej.

Musiałam być bardzo strapiona i przestraszona, bo nagle oczy Itki uspokoiły się i uśmiechnęła się – znów tylko wargami.

– Panienska nie wie, jest młoda. Młodzi się cieszą. Po co mają się smucić? – powiedziała łagodnie.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę o tym, o owym. Mówiłam przeważnia ja. Na przekór dawnej swej gadatliwości i pasji rozmowy Itka raczej słuchała. Chwilami wydawała się nieobecna, daleka, jakby ludzie i sprawy, o których mówiłusmy, pozostały już poza nią, jakby od nich odeszła.

Żegnała się ze mną serdecznie. Znowu stała na ganku, a ja odwracałam się kilka razy. W czerwonym blasku zachodzącego słońca postać jej, na tle zielonych drzewczek, duża, wyraźna, a nieruchoma, wydawała mi się obrazem raczej, niż rzeczywistością.

Dziś myślę, że tak c z e k a ł a n a t a m t o p r z e z n a c z e n i e.